



JOANNA

OSTROWIECKA



NIE TYLKO

ROCK AND ROLL

Podróże koncertomanki

JOANNA OSTROWIECKA

NIE TYLKO ROCK AND ROLL

Podróże koncertomanki

© Copyright by Joanna Ostrowiecka &



Zdjęcia Joanna Ostrowiecka, Zenon Kołota

Projekt okładki: Paweł Wójcik

Korekta: Anna Wyrwik

ISBN 978-83-62480-56-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

Książkę tę poświęcam nieodżałowanemu Ronnie'emu Jamesowi Dio, jednemu z najwspanialszych wokalistów rockowych świata. Odszedł od nas, ale nie całkiem. Jego muzyka zawsze będzie z nami.

Spis treści

Na dobry początek...	8
Początki rockowego wariactwa	11
Kolory, Park Żeromskiego, Warszawa, późna wiosna 1969	
Grechuta en avant!	15
Marek Grechuta + Anawa + goście, klub Riwiera, Warszawa, 1978	
Punkt zwrotny	19
Budka Suflera + Iza Trojanowska + Intercity, Sala Kongresowa, Warszawa, zima 1981	
Pierwszy objaw nieuleczalnej purplomanii	23
Deep Purple, Vilnius Koncertu ir Sporto Rumai, Wilno, 30 marca 2002	
Jazzrockowe szaleństwo	29
Pat Metheny Group, Torwar, Warszawa, 29 maja 2002	
Dziwnie i pięknie w Warszawie	33
Joe Satriani, Sala Kongresowa, Warszawa, 14 lipca 2002	
Purpurowych fascynacji ciąg dalszy	37
Deep Purple + The Planets + Dio, Stadthalle, Zwickau, 1 września 2002	
Dwie nowości i trzygodzinny ubaw	45
Deep Purple + Kickhunter + Lynyrd Skynyrd, Parkbühne Wuhlheide, Berlin, 17 czerwca 2003	
Zenit, który nie potrzebował reklamy	52
Deep Purple + Lynyrd Skynyrd, Zénith, Paryż, 29 czerwca 2003	
Spodek o mało nie rozbity	60
Deep Purple + Corruption, Spodek, Katowice, 3 grudnia 2003	
Czterej panowie M.	67
M3 + Chainsaw, Sala Kongresowa, Warszawa, 13 marca 2004	
Podwójny Szczecin	71
Deep Purple + Free Blues Band+Moonlight, Stadion Lekkoatletyczny, Szczecin, 28 czerwca 2004	
Legia Purple Super Szał	78
Deep Purple + Harlem + Acid Drinkers, Legia, Warszawa, 29 czerwca 2004	
Duże rozczarowanie	86
G3 = Robert Fripp + Steve Vai + Joe Satriani, Torwar, Warszawa, 13 lipca 2004	
Zaskoczenie na Wembley	90
Deep Purple + D.Howard + Thunder + P.Frampton, Wembley Arena, Londyn, 13 listopada 2004	
Piekielny wtorek	96
Deep Purple + D.Howard + Thunder + P.Frampton, Brighton Centre, Brighton, 16 listopada 2004	

Eklektyczne kombinacje	103
Jon Lord i Gemini Orchestra, Grosser Sendesaal, Berlin, 13 lutego 2005	
Caprices Festival: wariacka wyprawa	108
Deep Purple + Magma, La Grande Scene, Crans-Montana, 3 marca 2005	
Czadowo i odlotowo	115
Glenn Hughes + The Lizards, klub Golem, Zlin, 12 marca 2005	
Czarownice na herbatce	120
Free Blues Band, klub Free Blues Club, Szczecin, 18 marca 2005	
Jazzrock znowu w stolicy	126
Pat Metheny Group, Torwar, Warszawa, 21 maja 2005	
Kolejny sabat czarownic	131
Free Blues Band, klub Free Blues Club, Szczecin, 27 maja 2005	
Południowe rytmy na Starówce	135
Septeto Nacional (Kuba), Rynek Starego Miasta, Warszawa, 2 lipca 2005	
Odczytywanie Milesa Davisa	139
Asocjacja Andrzeja Przybielskiego, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 23 lipca 2005	
Nefrytowy wąż	142
International Edition Quintet, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 30 lipca 2005	
Dr. Smith w swoim żywiole	146
Dr. Lonnie Smith Quartet, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 27 sierpnia 2005	
Motorowy odlot z purpurą	149
Deep Purple + Rausch, Polo, Düsseldorf, 3 września 2005	
Pień i niebo	159
Dio, klub Stodoła, Warszawa, 3 października 2005	
Paice kontra Malcherek	164
Ian Paice + Free Blues Band + Andrzej Nowak, Teatr Jana Kochanowskiego, Opole, 19 października 2005	
Angielscy goście Malcherka	171
Ty Garner's Blue Note Quartet, Free Blues Club, Szczecin, 19 listopada 2005	
Rendez-vous z Alicją	178
Deep Purple + Alice Cooper, Max-Schmeling-Halle, Berlin, 6 lutego 2006	
Memento i stracony kontakt	186
Deep Purple + SBB, Spodek, Katowice, 24 lutego 2006	
Po czterdziestu latach	193
Czerwone Gitary, Sala Kongresowa, Warszawa, 4 marca 2006	

Preludium z fletem	198
Mini+Free Blues Band, Free Blues Club, Szczecin, 3 czerwca 2006	
Promocja bez promocji.....	203
Deep Purple + Five Men On The Rocks, Parkbühne IGA, Rostock, 5 czerwca 2006	
Kontrabas nie z tej ziemi	208
Avishai Cohen Trio, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 8 lipca 2006	
Polska–USA 3:1	212
Krzysztof Dębski & Jarek Śmietana Group, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 15 lipca 2006	
Ich czterech i ona jedna.....	216
Gwyneth Herbert Band, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 5 sierpnia 2006	
Jazzrock Deana Browna.....	220
Dean Brown Quartet, Rynek Starego Miasta, Warszawa, 12 sierpnia 2006	
Wolny blues na pokładzie	224
Free Blues Band, klub Pokład, Gdynia, 24 sierpnia 2006	
Magicy po raz drugi.....	229
Deep Purple + SBB, Torwar, Warszawa, 9 października 2006	
Bitwa w Bournemouth	236
Deep Purple + Thin Lizzy + Styx, BIC, Bournemouth, 27 kwietnia 2007	
Zwierzaki w Szczecinie.....	244
The Animals and Friends, Free Blues Club, Szczecin, 23 lutego 2008	
Powtórka sentymentalna	248
Big Bit, Hard Rock Cafe, Warszawa, 4 kwietnia 2008	
To teraz ja!	253
1951 gitarzystów, Thanks Jimi Festival, Rynek Starego Miasta, Wrocław, 1 maja 2008	
To nie koniec.....	264

Na dobry początek...

Nareszcie zobaczyłam ich na żywo! Omegę, zespół z Węgier, który ratował nasz rynek rockowy, gdy jeszcze nie było Lady Pank, Lombardu ani Perfectu. Węgrzy byli już u nas wcześniej kilka razy, ale dopiero teraz udało mi się pójść na ich koncert. Poświęcony pamięci Czesława Niemena, z którym zespół chciał, ale nie zdążył razem wystąpić kilka lat temu – artysta za szybko od nas odszedł.

Jak wiadomo, Niemen sięgał do poezji Asnyka, Tuwima i Norwida, i może dlatego koncert zaczął się dość nietypowo – poezją śpiewaną w wykonaniu Ady Gostkowskiej. Konferansjer mówił, że to na prośbę muzyków Omegi. Organizatorzy zafundowali nam jakieś pół godziny piosenek Agnieszki Osieckiej i własnych kompozycji pani Gostkowskiej. Pomysł był całkiem dobry; szkoda tylko, że zamiast akompaniamentu z playbacku nie było żywego fortepianu. Ale i tak recital wypadł niezłe, choć zniecierpliwiona publiczność nie mogła się doczekać Omegi. Trochę przesadzili, w końcu to było tylko pół godziny, a Węgrzy poza tym wcale się nie spóźnili. Zanim się pojawili, z głośników rozległ się jeszcze „Marsz Radetzky’ego”, co mnie zdumiało niebotycznie: skąd ten pomysł? Ale nie miałam nic przeciw, bo lubię klasykę, a zwłaszcza Straussa.

Już początek głównego koncertu potwierdził, że Węgrzy to bardzo sympatyczny naród. Przywitali nas słowami „Dobry wieczór!” i przez cały występ dziękowali nam po polsku. Prawie bez obcego akcentu. Ale nie promowali swojej najnowszej, szesnastej płyty, tylko dali nam przekrój całej swojej twórczości. Tak swoją drogą, to wiele innych grup z Zachodu, nawet tych z ponad 30-letnim stażem, mogłoby się przy nich schować: 16 płyt studyjnych w prawie tym samym składzie (tylko raz się zmniejszył o jednego muzyka) to nie byle co. Poza tym przy kondycji Jánoša Kóbora wielu solistów to sztywne nienaturalne lalki. Czego on nie wyczyniał na tej scenie!

Nie notowałam tytułów, ale chyba najwięcej zagraли ze swojej szóstej płyty, między innymi „Czarodzieja” i „Nie znam twojego imienia”. Był i „Ptak” z „piątki”, i pierwsza część „Rabusia

czasu” z „siódemki”; z „dziewiątki” na pewno dali „Kobietę z letniej nocy”, i o ile pamiętam – „Srebrny deszcz”. Nie pamiętam też na sto procent, co to był za rock and roll, aż sprawdzałam potem tytuły na płytach – może „Wiecznie żywy rock and roll” z „dziesiątki”? Tak czy owak, wszystko wypadło super. Akustyka, w każdym razie tam, gdzie siedziałam, była świetna. W jednym ze swoich wywiadów pan Kóbor mówił, że grupa pożycza sprzęt na koncerty. Nie do wiary, wcale nie dało się poznać! Światła, zwłaszcza przy „Rabusiu czasu” i „Nie znam twojego imienia” zapierały dech. Puszczono nam takie wiązki i strumienie z lasera, że wiele ekip z innych zespołów leży na dwie łopatki! Nie widziałam dotąd takich rozet i zygzaków na suficie.

To, co najlepsze, zostawili na bis. Najpierw „Lampę naftową”, a potem – jakżeby inaczej – „Dziewczynę o perłowych włosach”. Dwa superprzeboje z drugiej płyty. Ale nie puściliśmy ich tak prędko, musieli wrócić jeszcze raz.

– Jeszcze jeden? – zapytali, oczywiście po polsku, i zagrali nam coś skoczego. Chyba z pierwszej płyty, którą – paradoks – poznałam dopiero parę dni po koncercie.

Ale to jeszcze nie był koniec atrakcji, bo po koncercie ustawiono w hallu pięć krzesel, długi stół, ułożono na nim małe i duże plakaty, całość odgrodzono od publiczności – i za jakieś pół godziny przyszli muzycy rozdawać autografy. Tłum ludzi na nich czekał, ale zapewniono nas, że wszyscy dostaną podpisy.

I rzeczywiście! Wszystko było dograne jak w zegarku, wpuszczano po kilku fanów, ci podchodzili po kolei do każdego muzyka i podawali pamiątki. Zabawnie to wyglądało, jak taśma produkcyjna, ale to dużo lepszy pomysł niż tłok i przepychanki za kulisami, gdzie kto silniejszy, ten lepszy. Wielkie brawa dla Sali Kongresowej, zaczynam ją naprawdę lubić. Przypuszczam, że gdyby Czerwone Gitary i Joe Satriani zechcieli do nas przyjść po swoich występach, to też by to zorganizowano.

Omega to jeden z najsympatyczniejszych zespołów, jakie dotąd spotkałam. Nie tylko na scenie. Nie zdążyliśmy z mężem z nimi porozmawiać, ale podpisali nam wszystko co się dało, i bardzo ich ujęło, że dziękuję po węgiersku. Najbardziej basistę, który odwdzieczył mi się panoramicznym uśmiechem. Gdybym miała aparat, na zdjęcia też by się zgodzili.

Koncert Omegi w Sali Kongresowej był 14 marca 2009 roku, kiedy zakończyłam już pisanie tej książki, Ale był tak udany, że musiałam o nim wspomnieć, i to na samym początku. To jedna z najbardziej udanych imprez „zaliczonych” przeze mnie i męża. Tym bardziej, że zmęczona wszechobecną angielszczyzną, miałam okazję posłuchać rocka w innym języku.

Koncerty opisane w dalszych rozdziałach są z różnych półek, jako że jestem melomanem w ogóle, nie tylko miłośnikiem hardrocka. Będzie tu jazz, blues, a nawet poezja śpiewana. Kilka imprez przedstawiłam retrospektywnie, toteż może tam być więcej błędów rzeczowych. Co zrobić, nawet najlepsza pamięć czasem zawodzi... Ale starałam się wszystko w miarę dokładnie sprawdzić. Gdyby okazało się, że jeszcze coś się nie zgadza, zawsze można do mnie napisać i to sprostować, a ja postaram się naprawić swój błąd.

Inne koncerty opisywałam na bieżąco, a potem uzupełniałam braki oraz poprawiałam błędy i nieścisłości. Oczywiście w relacjach jest mowa o wrażeniach bezpośrednio po koncercie, nie obecnych.

Podziękowania dla Urszuli i Agnieszki, które sporo mi pomogły, głównie merytorycznie. Jeszcze większe podziękowania dla Zenka, mojego nadzwyczaj cierpliwego męża, który wykonał kawał gigantycznej pracy, czytając moje rozdziały po każdej ich korekcie i dodając następne poprawki, głównie stylistyczne. Do jednego z koncertów dodałam i jego relację. Chyba go namówię, aby sam napisał książkę, on bardzo dobrze to robi.

Nie mniejsze podziękowania dla wszystkich tych, co swoim zainteresowaniem poprzednią pracą, czyli „Spotkaniem”, zachęcili mnie do dalszego pisania.

Przyjemnej lektury!

Zaskoczenie na Wembley

**Deep Purple + D.Howard + Thunder + P.Frampton, Wembley Arena, Londyn,
13 listopada 2004**

Po „zaliczeniu” dwóch czerwcowych występów Deep Purple w Polsce poczułam się nasycona i pomyślałam, że na ten rok może już wystarczy. Pieniądze się kończyły, a zespół pojechał za daleko.

Aż przejrzałam jeszcze raz ich listopadową trasę po Europie i coś mi nagle strzeliło do głowy. Tyle razy byłam na ich występach za granicą, zaliczyłam nawet Francję, to dlaczegożby teraz nie pojechać do Anglii? Jeszcze nigdy tam nie byłam, a do tego trafiły mi się w Internecie w miarę tanie noclegi. Po rozmowie z mężem okazało się, że nie stoimy tak źle finansowo, więc nie było nad czym medytować. Zaczęłam załatwiać: przelot samolotem (następna atrakcja – jeszcze nigdy nie lataliśmy!), mieszkanie (wybór padł na Interhome, tak jak we Francji), no i oczywiście bilety na koncert. Z początku miały być tylko do Wembley, ale później zaszły dodatkowe okoliczności, których w ogóle się nie spodziewałam.

Po kolei. W październiku wyszła drukiem książka o spotkaniach z Gillanem, mój debiut pisarsko-dziennikarski. Koniecznie chciałam dać muzykom po egzemplarzu. Przecież Wembley to świetna po temu okazja! Niestety, zaraz potem dowiedziałam się, że nie mogę się spotkać z zespołem w Wembley. Była za to taka możliwość w Brighton, kilka dni później.

Nie przewidzieliśmy biletów na koncert w Brighton, ale wobec takiego stanu rzeczy zaczęliśmy się o nie starać. Dzięki uprzejmości i karcie kredytowej kolegi męża (znowu, bo ja wciąż nie miałam takowej) szybko się załatwiło bilety i do Wembley, i do Brighton. Teraz już nie zostało nam nic innego jak odebrać książki z drukarni, spakować się i czekać na odlot.

Miałam jeszcze dwa tygodnie urlopu – specjalnie przełożyłam go na listopad. Chciałam przy okazji koncertów zwiedzić jak największy kawałek Anglii. Poza tym chciałam mieć margines

czasowy, na wypadek przesunięcia koncertów. Wileńskie doświadczenie się kłania. Ale tym razem nikt niczego nie przekładał, takie poślizgi to na szczęście rzadkość.

Z nadmiaru wrażeń z pierwszego pobytu w Anglii pomyliłam daty i do Wembley zawitaliśmy o dzień za wcześnie. Nawet mężowi coś się pomyliło! Ale ta pomyłka miała swoje dobre strony, choć przepadł nam jeden dzień na zwiedzanie. Zrobiliśmy mały rekonesans i zorientowaliśmy się co do zmian w komunikacji, spowodowanych przedolimpijskimi przebudowaniami. Dzięki temu nie błądziliśmy w dniu koncertu, chociaż bardzo ciężko było tam trafić bez kolei i metra!

W Anglii też zdarzają się „koniki”. Nasze bilety (miejsca daleko od sceny) kosztowały 30 funtów za jeden, a oni chcieli od ludzi po 48 funtów w dzień koncertu. Faktycznie, impreza miała duże powodzenie, zwłaszcza występ Deep Purple, o czym za moment.

Wembley Arena to olbrzymia hala, akustyki nie ma za dobrej, bo pod sufitem sterczy trochę metalowych „drabin”. Za wygodnie też nam nie było. Siedzenia wąskie, byliśmy stłoczeni jak szprotki w puszcze, choć oczywiście wygodniej siedzieć niż stać i być jeszcze bardziej ściśniętym. Szkoda, że scena była za daleko, bo pozwolono nam wnieść amatorski sprzęt fotograficzny. No i zdjęcia z koncertu wyszły takie sobie.

Ruszyli punktualnie. Najpierw Dean Howard i spółka. Od razu ich polubiłam. Grali monotonie, ale całkiem niezłe. Według oceny męża ci ludzie mieli wszelkie szanse, aby się rozwinąć. Co do sali, to była wypełniona w połowie.

Potem była przerwa i następna przedgrupa. Najpierw zgasły światła, rozległa się głośna muzyka i co chwilę do rytmu padały okrzyki „Thunder!”. Potem wyszła grupa Thunder „we własnej osobie” i od razu ruszyła z kopyta. Sala wypełniła się do trzech czwartych. Zespół, działający od lat, grał nie gorzej od Deana Howarda. Solista ubawił wszystkich swoimi numerami, a zwłaszcza tym przy swojej najdłuższej wokalizie, kiedy nagle padł na plecy, pokazał numer buta i fiknął koziołka do tyłu. Przerwał wokalizę, zapewne z wrażenia, że tak pięknie ją zaśpiewał. Wszyscy na sali pękaliśmy ze śmiechu.

Thunder wypadł świetnie, ale o ile pamiętam nie dał bisów. Nie zależało mi specjalnie na nich, bo przyszłam głównie ze względu na Deep Purple.

Następna przerwa. Miejsca siedzące mają swoje zalety. W każdej chwili można wyjść i nie trzeba się przepychać przez tłum. Toteż wychodziłam na każdej przerwie, aby złapać trochę powietrza, bo duszno było.

Myślałam, że po Thunder wejdą wreszcie Purple. A gdzie tam! Znowu przedgrupa. No nie, trzy przedgrupy to jednak trochę za dużo! Zaczęłam być zła. Ale Peter Frampton był tak dobry, że szybko mi przeszło. Zapewnił frekwencję na jakieś 90% sali. Nie padał na plecy, nie fikał koziołków, grał i śpiewał w innym stylu. Bardziej balladowo. Jeden z utworów zabrzmiał tak, jakby był śpiewany w ciekłym helu. To takie dziwne urządzenie przy mikrofonie niekształciło głos. Jakieś rurki. Co to mogło być???

Dostał owacje na stojąco. Po czym dał bis i znowu zgotowaliśmy mu brawa na stojąco. Stara gwardia trzyma się świetnie!

Znowu przerwa, znowu wyszłam na chwilę, a jak wróciłam, cała widownia stała i wołała Deep Purple. Lubią ich tu w Anglii! Nie spodziewałam się, że aż tak. Bardzo mnie ucieszyło, że Wypiarze nie strugają zblazowanych malkontentów i wiedzą, co dobre. Pomimo wrzawy, jaką robili, ci ludzie zachowywali się grzecznie. Za nami siedziała grupka dwudziestolatków, chyba Harleyowców, którzy z początku trochę rozrabiali i przeszkadzali. Ale jak weszli Purple, od razu przestali!

Jak już mówiłam, wszyscy stali. Zrobiłam w przejściu kilka zdjęć i wróciłam na miejsce. Bez problemu, wszyscy mnie grzecznie przepuszczali. Chwilami nic nie widziałam z tego swojego miejsca, ale było sympatyczniej niż myślałam. Ten entuzjizm! Publiczność do samego końca koncertu nie chciała usiąść.

Repertuar grupa grała ten sam co w Warszawie i Szczecinie, a do tego dodała dawno nie grane „Demon's Eye”, przy którym Gillan znowu zapomniał tekstu. Znamy, znamy! Specjalnie, dla urozmaicenia, co, panie lanie?! Niech panu będzie!

Zapomniał czy nie zapomniał, formę nadal miał świetną. Wcale nie fałszował! Tyle, że przy „Space Truckin'” już się chyba nieco zmęczył. A przed końcem zasadniczej części koncertu zasapał się. Co zrobić, w końcu nie jest już 20-latką. Ta jego zadyszka wcale nie przeszkadzała, dodała mu tylko wdzięku. Kto u licha powiedział, że obniżyły mu się rejestry?! Nieprawda! Głos super, można by pójść za nim choćby na koniec świata.

Mąż zauważył, że zapuścił włosy. Przyznam, że nie zwróciłam na to uwagi, ale jak mąż to powiedział, przyjrzałam się dokładniej. Rzeczywiście, dłuższe niż zwykle! Bardzo dobrze. Czasem robił sobie taką brzydką, pół łysą pseudofryzurę, że patrzeć na niego nie mogłam: murowana siedemdziesiątka! Teraz zaczęłam się zastanawiać, jak długo wytrzyma z długimi.

Nie tylko wyglądał świetnie w nowej fryzurze, ale i strój miał jakiś ciekawszy. Biały, trochę węższy niż dotychczas. Z daleka nie widziałam szczegółów, ale zauważyłam, że miał tego wieczoru zgrabną figurę.

Do „Silver Tongue” (od którego zespół zawsze zaczynał występ w trasie „Bananas”) Don Airey wprowadził parę własnych improwizacji. Na plus. Im dłużej gra w Deep Purple, tym więcej ma świetnych pomysłów.

Ostatnio grupa zaczęła częściej grać „Strange Kind of Woman”. Teraz też to dała, a cała sala zaśpiewała razem z muzykami. Tak samo przy „Smoke”. Angielska publiczność świetnie śpiewa a capella! A przy „Highway Star” cała sala tańczyła. My też, chociaż te ciasne siedzenia nieznośnie nam w tym przeszkadzały. W utworach natomiast przeszkadzało mi dorabianie (jak zwykle) sztucznych zakończeń do „Perfect Strangers” i „Knocking at Your Back Door”. Muzycy ciągle to robią, chociaż za każdym razem wychodzi im to jakoś kulawo. Może lepiej byłoby dać płynne przejście do następnego kawałka. Jednak to wszystko były drobiazgi, bo tak w ogóle to bardzo lubię „Perfect Strangers” na koncertach, i te widowiskowe błyskawice, które mu towarzyszą.

Ale przed „Perfect Strangers” było „Contact Lost”. Gillan, usiadłszy na scenie po turecku, zapowiedział utwór, dedykując go zmarłemu 9 listopada Emlynowi Hughesowi, brytyjskiemu kapitanowi drużyny Liverpool. Po tej zapowiedzi wyszedł na kilka minut. Domyślam się, dlaczego... „Contact Lost” wypadł jak zwykle cudownie, a publiczność całkowicie się wyciszyła na kilka minut. Ożywiła się dopiero przy „The Well Dressed Guitar”.

Solo Airey’a było oczywiście „pod Anglię”. Pierwszy kawałek był bardzo piękny. Potem była poleczka, przy której zachciało mi się śmiać, następnie „Marsz torreadora”, przy którym mężowi zachciało się śmiać. I „gwiazdne wojny”, zapewne ulubiony motyw pana Airey’a. Dość długie solo, więc pan Gillan miał sporo czasu na przebranie się. Włożył coś zupełnie innego niż zwykle: kwiecistą kamizelkę do czarnych spodni. Do twarzy mu w tym było przy nowym

uczესaniu. Szkoda tylko, że dekoracje nie były twarzowe. Jakieś niegustowne bananowe drzewka, którym nic nie pomogło, że pod wpływem różnych świateł przybierały różne kolory.



Deep Purple, Londyn 2004

Przy „Perfect Strangers” pan Ian dał nam taki popis swoich możliwości, że wszyscy o mało nie oszaleliśmy. Błyskawice przy tym były już nie tylko zielone, ale jeszcze niebieskie i białe. Darliśmy się z mężem nie gorzej od pozostałych ludzi na widowni. Mąż krzyczał chyba najgłośniej z całej sali. Potem żartowaliśmy, że ze swoim głosem i wzrostem jest rozpoznawalny z daleka.

A propos widowni, jeden z naszych sąsiadów mocno nas intrygował. Był bardzo podobny do Jona Lorda – z jasną brodą, w okularkach (trochę innych niż ma organista), z jasnymi włosami związanymi w kucyk... Mąż zastanawiał się, czy to nie sam Lord, i nawet prosił mnie, bym go o to spytała, ale nie chciało mi się. Ten pan znał na pamięć wszystkie utwory Deep Purple i miał świetny głos. Swoją drogą ciekawe, jaki głos ma Lord. Podobno kiedyś coś zaśpiewał w czasie sesji w studiu, ale nie pozwolił tego nagrać.

Jak się wkrótce okazało, nasz sąsiad to nie był Jon Lord. O czym za moment.

Już wspomniałam, że przed końcem głównej części koncertu Gillan się zasapał. Ale przed bisami zespół zrobił sobie małą przerwę, więc przy „Speed King” solista był już wypoczęty. Aż do zejścia ze sceny był w doskonałej formie. Dał jak zwykle ekstra wiązanek różnych kawałków, ale nie przypadła mi do gustu. Zwłaszcza jego „piejąca” wokaliza mi się nie podobała. I jeszcze ta pioseneczka „kocham swoją żonę, kocham swojego psa”. Eee, nie lubię. Już lepiej wypadło „O sole mio”. Za to „Hush” wyszło super, szczególnie solo na klawiszach i popis Iana Paice’a na bębnach, którego zabrakło w „Speed King”.

A przy trzecim bisie zgotowano nam nie lada niespodziankę. To był grom z jasnego nieba! Podobno nawet sami Purple tego się nie spodziewali. W pewnej chwili mąż mnie trącił i rzekł, że przy klawiszach siedzą dwie osoby. Zdziwiłam się: jak to, Airey się rozdwoił? I to rosnące podniecenie na widowni. Przyglądałam się i oczom nie wierzę. O rrrany!!! Jon Lord we własnej osobie!!! A więc to nie mistrz Hammonda siedział obok nas. Prawdziwy Lord był na scenie. Z początku grał do spółki z Airey’em, ale w końcu Don zostawił mu cały instrument do dyspozycji. Śmieliśmy się potem, że miał wolne i wpadł na chwilę na koncert Deep Purple, aby sobie pograć w „Black Night”.

Myślałam, że nigdy go nie zobaczę na żywo z Deep Purple. Swój pierwszy koncert, w Wilnie, zaliczyłam już po zmianie składu. To cudownie, że pan Lord przyszedł nam zagrać do Wembley Arena. Szkoda wprawdzie, że nie zdobyłam jego autografu, ale to było niesamowite uczucie widzieć obu mistrzów naraz przy klawiszach! Wielkie dzięki, panie Lord!

Wyszliśmy z sali wciąż rozmawiając o Lordzie. Publiczność była zachwycona. Koncert był świetny, równy, przedgrupy bardzo dobre, ale takiej niespodzianki nikt nam dotąd nie sprawił. Jak fajnie byłoby, gdyby Jon Lord zagrał nam jeszcze w Brighton!

Wracaliśmy do domu dwoma autobusami, z przesiadką w Ealing, które to miejsce też obfotografowaliśmy – zostało nam trochę filmu. Żeby było zabawniej, kilka dni przedtem, wracając z tegoż Ealing do domu w Twickenham, przesiadaliśmy się w Hounslow, rodzinnym mieście Gillana. To ci zbieg okoliczności, co? Było trochę czasu między jednym autobusem a drugim, więc pstryknęłam kilka kadrów z nocnego życia miasta, które teraz jest dzielnicą Londynu. Zdjęcia wyszły całkiem niezłe. Może dam kiedyś jedno Gillanowi...

To teraz ja!

**1951 gitarzystów, Thanks Jimi Festival, Rynek Starego Miasta, Wrocław,
1 maja 2008**

A tak, ja też dałam jeden koncert. Jeszcze kilka lat temu nie przyszłoby mi do głowy, że sama wystąpię jako muzykant, choćby jeden z 1951!

Gitarowy Rekord Guinnessa (GRG), inicjatywa Leszka Cichońskiego, jednego z najlepszych polskich gitarzystów, jest organizowany przez niego co roku w ramach festiwalu na cześć Jimi'ego Hendrixa. Z każdym rokiem coraz więcej gitarzystów, zawodowych i amatorów, gra wspólnie „Hey Joe” na wrocławskiej Starówce. Chciałam zasilić tę orkiestrę już dwa lata wcześniej, ale na dwa dni przed imprezą był inny koncert, w Szczecinie, i nie chciało mi się wędrować z pokazną gitarą zawiłym szlakiem Warszawa-Szczecin-Wrocław-Warszawa. W następnym roku w czasie Thanks Jimi Festival byłam w Anglii (gdzie oczywiście też „zaliczyłam” świetny koncert – patrz: Bournemouth). Dopiero w 2008 roku nie miałam nic w planach i nareszcie odkurzyłam swoją przez tyle lat nie używaną gitarę. Zaczęłam ćwiczyć, nie tylko „Hey Joe”, ale i „Dom wschodzącego słońca” (podobno większość gitarzystów zaczyna od tego naukę) i „Blowing in the Wind”. Nie było tych dwóch kawałków w programie, ale co szkodzi przypomnieć sobie akordy ze studenckich czasów. Zastanawiałam się tylko, czy będzie mnie słychać przy gitarach elektrycznych.



Próbuje „Hey Joe” pod pomnikiem Fredry– fot. Zenek Kołota

Słyszałam, że gitary akustyczne są mile widziane, ale wolałam się upewnić. Znalazłam namiary do Leszka Cichońskiego, a ponieważ znaleźliśmy się od roku – akompaniował Johnowi Broadway'owi Tuckerowi na „zaliczonym” przeze mnie koncercie podczas zlotu żaglowców w Szczecinie – swój list do niego zaczęłam słowami „witam po raz drugi”. Oczywiście nie musiał mnie pamiętać, ale wiadomość, że jeszcze jedna amatorka gitary chce wziąć udział w Thanks Jimi Festival, bardzo go ucieszyła. Odpowiedział, że rzeczywiście gitary akustyczne są mile widziane, a nawet uważał, że takie są najlepsze. Dowiedziałam się też, że tylko „Hey Joe” jest utworem obowiązkowym, ale im więcej kawałków zagram, tym lepiej.

Cały materiał festiwalowy miałam w Internecie. Zaczęłam próbować. Z „Wild Thing” nic mi nie wyszło. Gram ze słuchu, tego utworu akurat nie znałam, więc spis akordów mi nie wystarczał. Nauczyłam się trochę dopiero w czasie prób we Wrocławiu. „Thanks Jimi”, kompozycja Leszka Cichońskiego, była dla mnie zbyt skomplikowana – za szybkie zmiany akordów jak na moje możliwości. Dwadzieścia lat bez gitary w ręku dało znać o sobie. Ale „Kiedy byłem małym chłopcem” opanowałam raz dwa, a „Hey Joe” już umiałam, bo akordów dowiedziałam się dużo wcześniej od Andrzeja Malcherka. Którego też miałam nadzieję spotkać we Wrocławiu.

Mało brakowało, żeby w festiwalu wziął udział Michael Lee Jackson, mój znajomy rockman z Internetu. Nie mylić z innym Michaelem Jacksonem, tym od muzyki bardzo lekkiej! Chodzi tu o Michaela LEE Jacksona, który niedawno nagrał płytę „In a Heartbeat”, gdzie śpiewa także Ian Gillan. Kilka miesięcy przed Thanks Jimi Festival wspomniałam mu o Gitarowym Rekordzie Guinnessa. Mieszka w Buffalo, nie mógł przyjechać do Wrocławia i nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek występował w Europie. Ale obiecał, że będzie obecny duchem na naszym festiwalu i zagra „Hey Joe” w Buffalo. W USA byłoby to zapewne bladym świtem, ale może wcześniej wstaje?

I bomba pękła! Leszek Cichoński, gdy tylko mu o tym powiedziałam, poprosił o jego adres. Oniemiałam. Gitara Michaela Lee Jacksona też się będzie liczyć?! To pięknie, tyle że nigdzie nie znalazłam tego adresu. Oficjalna witryna M.L.Jacksona odsyłała nas do Myspace, gdzie była opcja „napisz list”, ale szczegółowych namiarów tam nie ujawniono. Jedyne, co mogłam zrobić, to powiedzieć panu Cichońskiemu, żeby odszukał artystę na Myspace, wcisnął „napisz list” – i napisał do niego.

Nie wiem, czy próbował się skontaktować, ale chyba i tak nic by z tego nie wyszło. Kilka dni po imprezie dowiedziałam się, że pan Jackson miał 1 maja próbę w studiu i nie mógł się z nami porozumieć. Szkoda, artysta pewnie dołączyłby do Thanks Jimi Festival zaocznie. Ale może zagra z nami za rok?

Męża oczywiście też musiałam namówić, aby ze mną pojechał na festiwal. Któż byłby dla mnie lepszym kibicem niż druga połowa?



Wrocław, miasto gitary, pięknych mostów i jeszcze piękniejszych bulwarów

Do Wrocławia przyjechaliśmy już 30 kwietnia. I bardzo dobrze, bo rejestracja uczestników zaczynała się 1 maja przed południem. Ale się rano śpieszyliśmy na ten Rynek! Przyszliśmy dużo wcześniej niż potrzeba, bo myślałam, że rekord Guinnessa będziemy bić już o dwunastą i chciałam zdążyć zająć siedzące miejsce. A tu wejście na teren naszych występów zamknięte! Okazało się, że rekord będziemy bić dopiero o szesnastą. Na razie więc tylko zarejestrowałam się i zaczęliśmy z mężem rozglądać się po Rynku. Było dużo chmur, ale i sporo

stońca. Z każdej strony nadciągali gitarzyści, głównie nieprofesjonalni. W sprzedaży pojawiły się zabawne różowe peruki a'la Jimi Hendrix – podobno świetne jako czapki. Ale ja wolałam koszulkę. Zanim ją kupiłam, mąż pstryknął mi zdjęcie na tle estrady. Oczywiście z gitarą. A potem pod pomnikiem Fredry, już w nowej koszulce. Przydała się druga bluzka, wcale nie było za ciepło. Ja też uwieczniłam męża z gitarą. Nie umiał grać, nie rejestrował się, ale miałam nadzieję, że namówię go na udział w następnym roku. Kiedyś bawił się gitarą, może nauczy się grać?

Przed południem nie było deszczu i miałam nadzieję, że pomimo prognoz wcale nie spadnie. Niestety! Festiwal wystartował na mokro. Jak tylko otwarto wejście dla uczestników GRG, zaczęło kropić, i wkrótce rozpadało się na całego. Miałam parasolkę, ale jak tu grać jedną ręką? I czy pobijemy rekord, skoro istnieje duże prawdopodobieństwo, że potencjalnych gitarzystów wypłoszy pogoda? Dobrze było zawodowcom, stanęli na zadaszanej scenie.

Ale uczestników wciąż przybywało. W przerwach między występami zawodowych muzyków (już grali od jakiegoś czasu) ogłaszano liczbę zarejestrowanych gitar. Coraz większy entuzjizm, coraz więcej instrumentów wznoszonych do góry. Imponujący widok, i co za niesamowita atmosfera! Nasz niezrównany organizator i zarazem główny gitarzysta dwoił się i troił, żebyśmy wszyscy dobrze się czuli. W pewnej chwili moja gitara sama poleciała do zenitu. A później, kiedy usłyszałam, że jest już z nami 1900 gitar, zawyłam chyba najdonośniej z całego tłumu. Aż się zdziwiłam, że tak potrafię wyrażać swój entuzjizm. Był okropny tłok, ale nic mi to nie przeszkadzało. Znalazło się nawet miejsce siedzące. Ktoś puścił mnie „na chwileczkę” na swoje, a potem całkiem z niego zrezygnował. Co prawda można było wygodniej usiąść pod samą sceną, i nawet nas do tego zachęcano, ale obawiałam się o swoje uszy – tyle tych wzmacniaczy i głośników tam stało!

Niepotrzebnie się bałam. Pan Cichoński zadbał o to, aby było słychać gitary akustyczne. Kiedy podczas próby „elektryczni” nie chcieli ściszyć wzmacniaczy, zapowiedział, że wyłączy im prąd. Z miejsca poskutkowało!

Na festiwalu oprócz Leszka Cichońskiego zawsze grało wiele innych gitarowych (i nie tylko) sław. Teraz też: Jan Borysewicz, Zbigniew Hołdys, Ryszard Sygitowicz, Zbigniew Krebs, Krzysztof Jaworski, Sebastian Riedel. Brakowało mi jednak Andrzeja Malcherka i nie mam pojęcia,

dlatego w tym roku go nie było. W poprzednich latach przyjeżdżał, a i teraz mówił, że może przyjechać! Pokłócił się z kimś, czy coś?



Nasz Wielki Organizator GRG

Nie zabrakło zagranicznych gości. Węgierska grupa Jimi Hendrix Memory Band grała chyba najlepiej i najciekawiej. Były też prezentacje z ubiegłorocznego festiwalu, były pozdrowienia z całego świata – program imprezy był tak bogaty, że nie sposób było spamiętać wszystkich atrakcji.

Gdzieś o drugiej po południu Leszek Cichoński zarządził próbę „Hey Joe”, oczywiście z udziałem wszystkich gitarowych sław. Potem usłyszeliśmy „Red House Blues”, a po nim była wielka niespodzianka: na dużym ekranie, który wisiał za plecami „akustycznych”, ukazał się teledysk „Wrocław and Rock and Roll” z raperem D–Underdog w roli głównej. Ten film puszczało na próbę jeszcze przed otwarciem festiwalu, ale z wyciszoną fonią. Teraz usłyszałam muzykę i zatkało mnie. Niesamowite wykonanie. Kto by pomyślał, że raper może być aż takim entuzjastą Hendrixa! Sama kompozycja też była niespodzianką: jej akordy były identyczne z „Hey Joe”. Spozrzegłam to jeszcze zanim pan Cichoński nam o tym powiedział.. Po teledysku gitarzysta zapytał nas, co chcemy teraz przećwiczyć: „Hey Joe” czy „Wrocław and Rock and Roll”. Ma się to poczucie humoru. Wszyscy zagraliśmy znowu C, G, D, A i dwa E, a ja cały

czas się zastanawiałam, o jakiej porze nasz organizator sfilmował się na Moście Grunwaldzkim we Wrocławiu. Przecież tam jest zawsze olbrzymi ruch!

Po drugiej próbie „Hey Joe/Wrocław and Rock and Roll” zaczęły się wspólne próby pozostałych utworów, z których „Little Wing” zaśpiewała Ewelina Flinta. Zaskoczyła mnie: świetnie jej to wyszło! Najwidoczniej nie doceniłam jej talentu. Po „Little Wing”, dość smutnej kompozycji, zagraliśmy razem o wiele rażniejsze „Wild Thing”. Przed każdym kawałkiem do przećwiczenia pan Cichoński przypominał nam akordy. Jeśli ktoś nie miał wprawy w „siódmkach”, mógł grać D i E zamiast D7 i E7. Ja nie miałam kłopotów z D7, A7 ani E7, chociaż jeszcze nie wprawiłam się w przechodzeniu do E7. I stwierdziłam, że gitara nie jest aż tak trudna jak myślałam. „Wild Thing” okazało się dziecinnie proste, kiedy poznałam melodię!

Przy niektórych utworach był czas dla samych gitar akustycznych. Niesamowite doświadczenie: setki instrumentów bez wzmacniaczy słychać było na całą dzielnicę. Potem znów dołączyły gitary elektryczne. Co prawda przy pierwszej próbie „Hey Joe” nie dopasowały się dostatecznie, utwór się „rozprzągł”, ale przy drugiej próbie wszystko już poszło równo.

Po „Wild Thing” przyszła kolej na „Thanks Jimi”. Coś tam próbowałam pobrzdakać, ale bez wcześniejszego przećwiczenia rzeczywiście niewiele dało się zdziałać. Do tego się popłakałam, bo przyszło mi na myśl, że nie ma z nami Jimi’ego i nie wiadomo, czy w ogóle na nas patrzył z góry. Pan Cichoński zapewniał, że tak, ale wolałabym, żeby był z nami tu na Rynku. Trochę też byłam zła, że nasi muzycy komponują tyle w minorowych tonacjach.

Nie było mi dane długo się martwić, bo zaraz po „Thanks Jimi” podeszło do mnie dwóch dziennikarzy, którym chyba spodobał się mój instrument:

– Widzimy, że pani ma piękną, ciekawą gitarę. Zapewne ma jakąś historię?

– To był chyba jedyny model, jaki można było dostać w Polsce w latach 70.: Defil – odpowiedziałam trochę nie na temat, demonstrując im etykietkę wewnątrz pudła i nie zdając sobie sprawy, że ją pokazuję „do góry nogami”. Uświadomiłam to sobie dopiero gdy reporter najechał na nią obiektywem.

– A konkretnie z którego ona jest roku? – zapytał jeszcze.

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba 78 rocznik.



Gustowne peruki a'la Jimi Hendrix

Przy „Kiedy byłem małym chłopcem”, jeszcze prostszym niż „Wild Thing”, poprawił mi się humor. Wreszcie udało mi się coś zagrać bez pomyłek, a poza tym dużą niespodzianką dla mnie było usłyszeć tu Pawła Kukiza.

Kiedy nie grałam, rozglądałam się za mężem, który, nie będąc uczestnikiem, musiał zostać „za płotem”. Niedługo przed czwartą, podczas generalnej próby „Hey Joe”, nareszcie go zobaczyłam, jak wymachuje plakatami. To miło, że je zdobył, chociaż to były tylko reklamówki. Jak się później dowiedziałam, „festiwalówki” rozeszły się błyskawicznie. Najwidoczniej było ich o wiele za mało. Ja też próbowałam pomachać mężowi. Nie za często, bo zaraz potem się myliłam. Ale już podczas bicia rekordu nabrałam wprawy: przy akordzie E, dłużej granym, mogłam podnieść rękę.

„Hey Joe” wypadło niewiarygodnie. Niech mi nikt nie wmawia, że im więcej gitar, tym większa kakofonia. Nie było żadnej kakofonii! Nigdy dotąd nie słyszałam tak zgranej orkiestry złożonej z prawie dwóch tysięcy gitar! Niech żyje Wrocław!

Gdy zakończyliśmy nasz występ, usłyszeliśmy, że za moment poznamy nowy hejnał Wrocławia. Po chwili z ratuszowej wieży odezwała się trąbka i znowu mnie zatkało. Ten nowy hejnał to było ni mniej ni więcej tylko „Hey Jude” Beatlesów! Nawet nieźle pasowało: tu „Hey Joe”, tam „Hey Jude”. Ale to nie był koniec festiwalu, bo jeszcze zorganizowano konkurs, pokaz różnych wideo, i wspólnie zagraliśmy ponownie „Wrocław and Rock and Roll”, który to utwór bezapelacyjnie został wizytówką Thanks Jimi Festival.

Koncerty na Rynku ciągnęły się aż do wieczora. Także sprzedaż płyt i innych pamiątek. Mąż zdobył plakaty, ale płyt nie kupował, z obawy, że nie trafi w mój gust. Kiedy znów byliśmy razem, poprosiłam go o wideo. Można było jeszcze dostać DVD z poprzedniego festiwalu. Kupiliśmy je, ale płyty CD z utworami granymi na tegorocznej imprezie nie, czego potem żałowałam. Niedługo zresztą, ponieważ kupiłam ją 16 maja na koncercie Leszka Cichońskiego w warszawskim Tygmoncie.

Koniecznym było zdobyć autograf od pana Cichońskiego. Nie było to takie proste. Zaraz po pobiciu Gitarowego Rekordu Guinnessa poprzesuвано barrierki, zaczęły się występy różnych znanych zespołów i zrobiło się zamieszanie. Nie wiedziałam, gdzie szukać artysty, był wciąż nieuchwytny. Dopiero po wypytaniu kilku osób dowiedzieliśmy się, gdzie go złapać.

Stanęliśmy przy jednej z barierek, obok kilku innych amatorów autografów, i po kilkunastu minutach doczekaliśmy się naszego gitarzysty. Był bardzo czymś zaaferowany, sprawiał wrażenie mocno rozkojarzonego i siłą rzeczy nie pamiętał, że już się trochę znamy. Nie ma się co dziwić: wciąż zapewne miał na głowie wszystkie sprawy organizacyjne, a przedtem przez kilka godzin grał razem z nami. Dobrze, że miał jeszcze siłę z nami rozmawiać, po południu musiał być już bardzo zmęczony.

Ale DVD i gitarę mi podpisał. Teraz już za skarby świata nikomu nie oddam swojego Defila. Co z tego, że niewygodny, ma za szeroki gryf i bolą od niego palce. To najcenniejsza pamiątka z festiwalu!



A tu odpoczywamy po pobiciu rekordu 2008

Gdy wychodziliśmy z Rynku, słyszeliśmy, że zarejestrowano 1925 „guinnessowych” gitar. A po weekendzie dowiedziałam się z Internetu, że gitarowy rekord 2008 pobiło 1951 instrumentów! Co więcej, zgłoszono to w porę do Księgi Guinnessa (rok przedtem nie zdążono

tego zrobić). Ustanowiliśmy nowy rekord! Nie na dwa tysiące gitar, jak chciał nasz organizator, ale był.

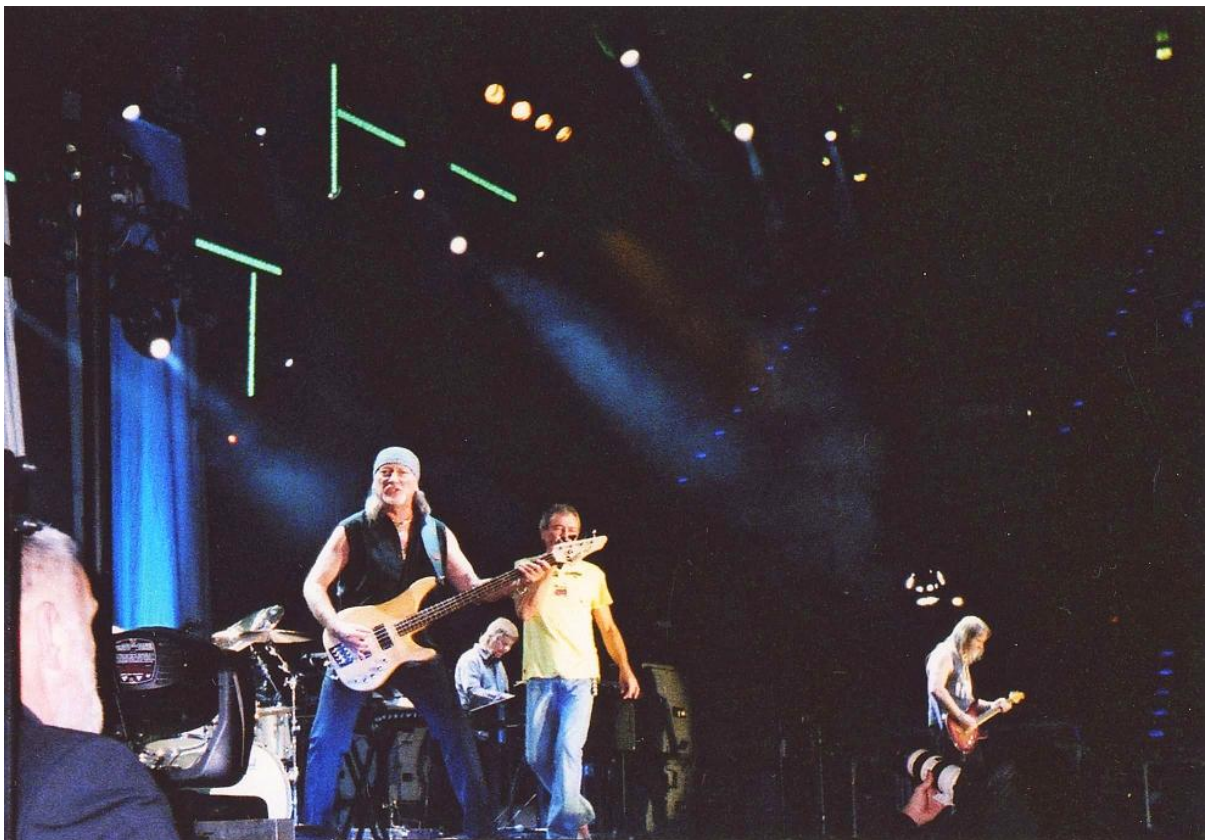
Zdaje się, że na zawsze polubiłam Thanks Jimi Festival. Nieważne, że zdrętwiała mi ręka, że bolały niewprawione palce. Najważniejsze, że znowu grałam i coraz lepiej mi szło. W następnych latach też chciałam wziąć udział! Miałam nadzieję, że może magiczna liczba 2000 gitar zostanie przekroczone już w przyszłym roku?

P.S. Zaraz potem nasz rekord przebili Amerykanie i to ich wpisano do Księgi Guinnessa. Ale nie cieszyli się długo swoim zwycięstwem, bo rok później pobiliśmy ich na głowę!

I jeszcze małe wyjaśnienie: do GRG liczą się gitary zarejestrowane 1 maja na wrocławskim Rynku.

To nie koniec

Thanks Jimi Festival, niejako mój własny koncert, to tak jakby zamknięcie tej książki. Ale to bynajmniej nie koniec mojego „koncertowania”. Mam już na koncie kilka następnych imprez, w tym wspomniany niedawno koncert Leszka Cichońskiego w Tygmoncie. Relację z niego opisałam na stronie internetowej Guitar Emotions. Gdy kończyłam ostatni rozdział swojej książki, miałam w kieszeni bilet na kolejny występ Deep Purple w Berlinie. Jak zwykle wypadł świetnie, choć miałam pecha – jakaś agresywna, pijana jednostka zepsuła mi zabawę, szturchając mnie i wrzeszcząc prosto do ucha tak, że wcale nie słyszałam zespołu. Aż się popłakałam: tak dawno nie widziałam Deep Purple na żywo, a tu pół koncertu zepsute.



Deep Purple, Berlin 2008

Niestety, wkrótce po Thanks Jimi Festival'2008 straciłam zapał do pisania. Pod koniec maja zachorował mi mąż i miałam mnóstwo innych spraw na głowie. Moja „większa połowa” musiała na kilka miesięcy zrezygnować z koncertów. Na występy Budgie 20 listopada i Whitesnake 2 grudnia poszliśmy już razem, z tym, że mąż musiał siedzieć. Ale jeszcze w lecie, na koncert Carlosa Santany na warszawskiej Gwardii i na występ Jona Lorda w Płocku wybrałam się sama. Co smutniejsze, te dwie imprezy miały być dla niego prezentem na naszą rocznicę ślubu.



Mój drugi GRG – 2009

Jon Lord był jak zwykle wspaniały, tak samo towarzyszący mu muzycy, o czym wspomniałam przy wcześniejszym jego koncercie (patrz Berlin 2005). Ale z koncertu Carlosa Santany niewiele pamiętam. Tyle tylko, że polubiłam zespół Dabalski Blues (pierwsza przedgrupa), natomiast nie polubiłam „Brathanków” bez Halinki Mlynkovej. Chociaż owszem, żal mi się ich zrobiło, kiedy musieli przerwać koncert z powodu nagłej burzy. Na szczęście Perfect nie musiał odwoływać występu, bo wkrótce się wypogodziło. Tyle że konieczny po burzy przegląd

instalacji opóźnił wszystko o jakieś pół godziny. Oczywiście Carlos Santana wypadł najlepiej, choć nie zagrał wielu swoich przebojów i bardzo mi ich brakowało. Na dobrą sprawę można było zrezygnować z Brathanków, bo zupełnie tu nie pasowali. Może zmieściłoby się wtedy więcej utworów głównej gwiazdy.

Koncert Budgie był świetny pod każdym względem. Poprzedziła go tylko jedna kapela, Leash Eye, ale za to bardzo dobra, zagrała kawał doskonałego rocka. Grupa Budgie nie zapomniała oczywiście o „Parents”, moim ulubionym kawałku tego zespołu, ale utwory z najnowszej płyty w niczym nie były gorsze. Po koncercie muzycy, gdy sobie trochę odpoczęli, wyszli do publiczności ponownie i podpisywali płyty. Wszyscy byli bardzo sympatyczni, ale najbardziej rozmowny okazał się gościnnie z nimi występujący Craig Goldy. Tak, ten gitarzysta z Dio!

Niestety, inny, długo oczekiwany koncert Whitesnake wcale mi się nie udał. Znowu miałam pecha – z tyłu jakieś rozwydrzone pannice kopały wszystkich po nogach, bo nie udało im się przepchnąć do przodu. A przyjść wcześniej to nie łaska? Potem jedna z nich, korzystając z mojej nieuwagi, wpakowała się między mnie i moje kumpelki, i zaczęła mi złośliwie zaślaniać. A tu mąż był jeszcze za słaby, żeby mnie chronić. Ta hołota zepsuła mi już nie pół, ale cały koncert. Prawie nic z niego nie zapamiętałam. Na szczęście po imprezie udało mi się złapać Douga Aldricha, tego samego, co grał z Dio w Zwickau – i mam przynajmniej autograf od niego.

W następnych latach znowu byliśmy na różnych koncertach – opisałam je w Internecie. Nie całkiem zerwałam z pisaniem. Koncertowi bywalcy znajdą moje dalsze relacje na Highwaystar, piszę też do witryny Aviator, do klubu fanów Leszka Cichońskiego. Mam poza tym własną stronę poświęconą Ianowi Gillanowi, gdzie jest dział koncertów. Berlin 11 listopada 2008 też tam figuruje, a jakże. Ale teraz więcej ćwiczę na gitarze niż piszę, aby na następnych festiwalach Thanks Jimi móc zagrać kilka kawałków więcej. I może namówię kiedyś męża, żeby pouczył się trochę grać. Już raz próbował, więc nie powinno mu to sprawić trudności. Byłoby świetnie, gdybyśmy wystąpili razem we Wrocławiu.

Jednak na razie gram tam sama. Muszę tu wspomnieć choć w paru słowach o imprezach w 2009 i 2010 roku. Największą niespodzianką był Gitarowy Rekord Guinnessa w 2009 roku – 6346 gitar! To był świetny pomysł ściągnąć Deep Purple na 1 maja do Wrocławia! Ich muzyk, Steve Morse, jeden z najlepszych, a zarazem najsympatyczniejszych gitarzystów świata –

zagrał razem z nami na Rynku, czym przyciągnął o wiele więcej „wioślarzy” niż się spodziewaliśmy. Oczywiście nie było siły – ten rekord musiał być wpisany i został wpisany do Księgi Guinnessa.

No i chyba nie muszę mówić, że wieczorny koncert Deep Purple na Polu Marsowym wypadł super. Wszystko opisałam na swojej stronie – „Panie Ianie”.

W następnym roku nie pobiliśmy własnego rekordu, zagrało tylko 4597 gitar. Założę się, że to z winy nieciekawej pogody. Bo Ray Wilson, który zaśpiewał z nami „Hey Joe”, wcale nie jest gorszy od Steve’a Morse’a. Jego wieczorny występ na Wyspie Słodowej był najlepszy, jaki widziałam od początku roku. Nie tylko wspaniale śpiewa, ale i fantastycznie gra!

A tak nawiasem mówiąc, to zajęcie i pierwszego, i drugiego miejsca na świecie, tego jeszcze na GRG nie było!



Znowu gramy! – GRG 2010

Muszę jeszcze wspomnieć o wydarzeniu bardzo smutnym, ale też bardzo ważnym dla świata muzycznego: w kwietniu tego roku odszedł od nas nieodżałowany Ronnie James Dio. Człowiek o niezwykłym, niepowtarzalnym głosie, o niezmiernej życzliwości i wspaniałych pomysłach muzycznych przegrał walkę z nowotworem... Czuję się tak, jakbym straciła kogoś bardzo bliskiego. Jego muzyka zawsze będzie z nami, ale jaka szkoda, że nic już nowego nie skomponuje! To olbrzymia strata dla świata rock and rolla i nie tylko.



To zrobiłam na samowyzwalacz, gdyby ktoś nie wierzył, że wzięłam udział...

Co dalej? Następne koncerty oczywiście, w tym październikowy maraton Deep Purple – trzy występy na południu Polski. Ciekawe, czy wypadną równie dobrze jak rok temu we Wrocławiu. Następne wizyty w szczecińskim Free Blues Club, do którego Andrzej Malcherek zaprasza coraz ciekawszych muzyków. Może kiedyś znowu napiszę książkę? Wszystko przede mną.

Warszawa, 11 czerwca 2010



Z wykształcenia jestem ekonomistką, a pracuję jako bibliotekarz. Entuzjastką mocnego grania jestem od dziesięcioleci i bardzo lubię opisywać te koncerty. Z początku pisałam tylko do Internetu, ale po jakimś czasie przestało mi to wystarczać i postanowiłam opisać co ciekawsze imprezy w książce. Nie tylko rockowe, bardzo lubię również jazz, blues i wiele innych.

Długo zastanawiałam się nad układem książki, ale w końcu poprzestałam na chronologicznym - przy okazji pokaże on może pewną „sezonowość” moich koncertów. Nie wszystkie opisałam, tylko te, które zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Łatwo zauważyć, że przeważają tu koncerty zespołu Deep Purple... Miejmy nadzieję, że książka zainteresuje Czytelników.

Joanna Ostrowiecka